

Kram na Narodowej Scenie

Układ materiału scenicznego w „Kramie z piosenkami” jest zgodny z nazwą co najmniej nieobowiązujący, sąsiadują tu ze sobą piosenki w najrozmaitszym stylu i z najrozmaitszych epok, teksty są najczęściej blahe, ale za to tyle jest tu humoru, dowcipu i beztroski, że wszystko inne przestaje się liczyć; a reżyser może po prostu powiedzieć do widza: patrz i baw się — ja się zajmę resztą. No, tak, ale ta „reszta” (tj. reżyseria) nie jest w wypadku „Kramu” wcale taka prosta. Schillerowska składanka jest trudniejsza do wystawienia niż niejedna z tzw. normalnych sztuk, a wkład pracy nie procentuje tu ani automatycznie, ani proporcjonalnie. Po pierwsze, jest to właśnie składanka, kram, w którym — chce się tego czy nie — wystąpi zawsze mnóstwo tendencji odśrodkowych, rozsadzających całość przedstawienia. Po wtóre, aktor przyzwyczajony w tradycyjnym teatrze do wygłaszania tekstu, tutaj musi przede wszystkim umieć tańczyć i śpiewać, a dopiero potem grać i wygłaszać swoją rolę. Trzecia trudność, to trudność synchronizacji. Na dwadzieścia śpiewanych w „Kramie” piosenek nie ma choćby dwu do siebie podobnych. W każdej więc z osobna trzeba uzgadniać ze sobą muzykę, dekorację i kostiumy, choreografię oraz sam tekst i grę aktorów, których występuje w tym przedstawieniu ponad czterdzieści. Można by tu dalej wylizywać trudności stojące przed reżyserem, nie chodzi jednak o ich pełną listę, ale o podkreślenie ich realnego znaczenia. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że warto się było pokusić o ich przewycięcie, bo „Kram” w udanej oprawie scenicznej stanowi może dobrą pozycję repertuarową i to właśnie dla Teatru Narodowego. Potwierdza to także i obecne przedstawienie w reżyserii Barbary Fijewskiej.

„Śpiewane obrazki”, jak nazywał swoją składankę Schiller, przemawiały ze sceny przede wszystkim poprzez gest, kolor, ruch, różnorodność stroju, barwę, rozmach scen zbiorowych, a słowo, odsunięte w ten sposób na dalszy plan, stało się po prostu jednym z elementów tego barwnego kotowodu polskiego obyczaju. Śmieszyło ono tak samo jak obnoszony z fantazją kontusz, frek, krynolina czy młodopolską pelerynka i tak samo, niefrasobliwie i nieznacząco, poruszało u widza narodowe sentymenty. Oczywiście, nie w całym spektaklu udało się taki nastrój utrzymać. Niedopracowane były szczegóły, w niektórych scenkach gra aktorów niepotrzebnie ciążyła w kierunku farsy. Dość nijaki wydał mi się kulig, od którego rozpoczęło się całe przedstawienie. W sumie są to jednak mało ważne szczegóły, które nie liczą się wobec wydo-

bycia z „Kramu” tego, co w nim jest najważniejsze, a jednocześnie tak trudno uchwytne, tj. specyficznego nastroju beztroski i nie narzucającej się, ale cały czas towarzyszącej temu nastrojowi, polskości całego widowiska. W trzeciej części ten element dochodzi do głosu bardziej bezpośrednio, dowcip ustępuje miejsca sentymentowi ballady i dlatego może — ale to już sprawa całkiem osobistego gustu — wolałem część pierwszą i drugą przedstawienia. Jak już wspomniałem, w „Kramie z piosenkami” bierze udział bardzo wielu aktorów i nie mógłbym ich tutaj wymienić choćby z nazwiska. Nie mógłbym wymienić również wszystkich tych, którzy mi się w przedstawieniu podobali; m.in. byli to: Jolanta Russek, Elżbieta Borkowska, Barbara Fijewska oraz Lech Ordon, Ignacy Machowski, Aleksander Dzwankowski i Damlan Damięcki.

JEREMI SADOWSKI